

A vintage clothing store advertisement featuring a mannequin in a pink dress, a rack of colorful dresses, and a polka-dot background. The text is arranged in a central, slightly curved layout.

..... SKLEP .....

RZECZY ZAPOMNIANYCH



# VINTAGE

SUSAN GLOSS

*Każda kobieta i każda rzecz mają swoją historię...*





## ROZDZIAŁ

### ..... 1 .....

NAZWA PRZEDMIOTU: *Suknia ślubna*

ORIENTACYJNY ROK POWSTANIA: *1952*

STAN: *Dobry, niewielkie przebarwienia podszewki*

OPIS: *Kolor – kość stoniowa, długość do pół tydki,  
dekolt typu tódka, krótki kimonowy rękaw.*

*Ż jedwabnej tafty, na krynolinie*

ŹRÓDŁO POCHODZENIA:

*Suknia kupiona od córki panny młodej*

# VIOLET

Pod jesionami przy Johnson Street, na wschód od kampusu, w podniszczonym ceglany budynku między kawiarnią a punktem naprawy rowerów mieścił się butik Vintage. W jego oknie wystawowym Violet Turner upinała właśnie na manekinie rozkloszowaną letnią sukienkę na ramiączkach.

Westchnęła, kiedy studentki z zaczerwienionymi policzkami, opatulone w kolorowe szaliki minęły jej sklep, nie patrząc ani na nią, ani na ubrania na wystawie. W szare wiosenne dni jak ten wszyscy dokądś spieszyli i myśleli praktycznie, czego Violet bardzo nie lubiła. Ludzie praktyczni nie wstępują do sklepów, żeby kupić bakelitową biżuterię albo dziecięce

rękawiczki z przełomu wieków. Nawet sympatyczni uliczni grajkowie – brodacze wykonujący muzykę bluegrass, którzy zwykle zajmowali fragment chodnika w pobliżu przejścia dla pieszych – spakowali bandzo i się wynieśli.

Violet odgarnęła za ucho kosmyk czarnych, krótko obciętych włosów i nachyliła się, żeby zawiązać espadryle na nogach manekina. Kiedy się wyprostowała, zobaczyła utkwione w sobie niebieskie oczy. Jakaś dziewczyna stała na ulicy, dosłownie centymetry od okna wystawowego, przyciskając do polarowej kurtki suknię ślubną z lat pięćdziesiątych.

Violet przypomniała sobie tę dziewczynę. Pojawiła się w sklepie kilka tygodni temu i przymierzyła z pół tuzina kreacji ślubnych, nim zdecydowała się na suknię z rozkloszowanym dołem, którą teraz trzymała; suknia trzepotała na wietrze niczym biała flaga kapitulantów.

Dziewczyna weszła do środka i położyła suknię na ladzie.

– Chciałabym ją zwrócić.

– Przykro mi, ale nie przyjmujemy zwrotów. – Violet zajęła miejsce za kasą i wygładziła na biodrach kraciatą spódnicę.

– Czy nie może mi pani wypłacić chociaż części pieniędzy, jakie za nią dałam? – Dziewczyna przesunęła dłońmi po jedwabnej tafcie, zatrzymując je dłużej na różyczkach z tiulu, naszytych wzdłuż rąbka spódnicy.

– Chciałabym, ale jest to niezgodne z regulaminem sklepu – odparła Violet.

Poczuła podmuch suchego, gorącego powietrza od starego kaloryfera, więc ściągnęła zapinany na perłowe guziczki sweter – znalazła go w szafie swojej babki Lou po śmierci staruszki.

Dziewczyna utkwiała wzrok w otoczonym płomieniami feniksie wytatuowanym na pokrytym piegami ramieniu Violet, ale szybko go odwróciła, kiedy Violet zauważyła, jak się na nią gapi.

– Miałam nadzieję, że zrobi pani dla mnie wyjątek – powiedziała. – Naprawdę bardzo mi potrzebne pieniądze. – Do oczu napłynęły jej łzy; przypominały warstewkę wody na błękitnym lodzie.

Violet przygryzła usta, ale przypomniawszy sobie, że pomalowała je czerwoną szminką. Było jej żal dziewczyny, musiała jednak trzymać się narzuconych sobie zasad. Ponieważ sprzedawała rzeczy używane, nie mogłaby ustalić, czy były noszone przez klientkę. Obawiała się, że gdyby godziła się na zwroty, jej sklep przemieniłby się w wypożyczalnię markowych ubrań. Podała dziewczynie chusteczkę jednorazową, którą wyjęła z wykonanego szydełkiem etui.

Dziewczyna wzięła chusteczkę i wytarła nią mokre policzki.

– Przepraszam. Zupełnie się rozkleiłam.

– Nic nie szkodzi. – Dziewczyna miała zawód miłosny wypisany na twarzy. A Violet doskonale pamiętała ból, który towarzyszył rozpadowi jej małżeństwa i skłonił ją pięć lat temu do przeprowadzki do Madison, choć najchętniej wyrzuciłaby ten okres swojego życia z pamięci.

– Zwykle nie płaczę przy obcych – dodała dziewczyna.

– Pomagałam pani wybierać suknię ślubną. Sądzę więc, że nie jestem tak całkiem obca. Mam na imię Violet. A pani?

– April Morgan. – Dziewczyna włożyła zmiętą chusteczkę do podniszczonej skórzanej torebki.

– Podoba mi się pani torba – rzuciła Violet. – Takie konduktorki były modne w latach siedemdziesiątych.

– Należała do mojej mamy.

Właścicielka sklepu wyczuła, że dziewczyna chętnie opowiedziałaby jej o torbie, a słuchanie cudzych historii było jej specjalnością. Każda rzecz w butikiu miała swoją historię, od sukienki Missoniego po torebkę marki Fendi jeszcze z metką.

Jeśli Violet nie znała prawdziwych dziejów jakiejś rzeczy, lubiła je sobie wymyślać. Wiedziała na przykład, że sukienka od Missoniego należała do profesor włoskiego, która kupiła ją, kiedy studiowała we Włoszech w latach siedemdziesiątych. Pani profesor opowiedziała jej, że przeżyła krótki, ale gorący romans z dalekim kuzynem Wiktora Emanuela, ostatniego następcy tronu Włoch. Violet uwierzyła jej, widząc, jak kobiecie płoną policzki, kiedy snuła swoją opowieść.

Violet nie znała historii torebki Fendi. Jakaś młoda dziennikarka z lokalnej gazety sprzedała ją, by mieć pieniądze na czynsz, mówiąc jedynie, że dostała tę torebkę w prezencie. Violet lubiła sobie wyobrażać, że dziennikarka dostała torebkę od bezwstydnego, ale błyskotliwego nowojorskiego redaktora zajmującego się modą, który w ten sposób próbował ją nakłonić do zajęcia się relacjami z pokazów mody i pisania o najnowszych trendach. Może dziennikarka odmówiła mu, by pisać o tym, co uważała za istotniejsze, na przykład na tematy polityczne i dotyczące środowiska naturalnego, ale zatrzymała na jakiś czas torebkę jako przypomnienie, z jakiej kariery zrezygnowała.

– Napije się pani czegoś? – spytała Violet. – Herbaty? Whisky?

April była zaskoczona.

– Och... Mam zaledwie osiemnaście lat.

Violet roześmiała się, włączając do gniazdka elektryczny czajnik stojący na małym stoliku za ladą. Na tym stoliku z połowy wieku, kanciastym, z jasnego dębu, stała też srebrna wiktoriańska taca, a na niej mnóstwo kubeczków, każdy inny. Taki miszmasz był charakterystyczny dla butików i jego właścicielki.

– Żartowałam z tą whisky – wyjaśniła Violet. – Nie trzymam w sklepie alkoholu.

– Ale ma pani tu dużo ładnych starych butelek. – April wskazała półkę pełną starego szkła wszelkich kształtów i kolorów – zielonego, kobaltowego, rubinowoczerwonego. – Do czego służy ten duży dzbanek?

– Nie mam pojęcia. – Violet podeszła do półki i zdjęła z niej kamionkowe naczynie z miniaturowym uchwytem na palec. Postawiła je na ladzie. – Nie ma żadnego oznakowania ani etykiety. Może służyło do produkcji bimbru.

April wzięła dzban i uważnie obejrzała wzorek w niebieskie kwiatki na przodzie.

– Skąd pani ma ten dzbanek?

– Z Bent Creek, gdzie dorastałam. Dał mi go właściciel miejscowej knajpy.

– To miejscowość w Wisconsin? Nigdy o niej nie słyszałam. Violet kiwnęła głową.

– Nie ma powodu, żeby pani o niej słyszała, jeśli nie jest pani entuzjastką polowań i wędkarstwa. To mała miejscina niedaleko jeziora Superior, liczy niespełna tysiąc mieszkańców.

– Hm – mruknęła April, znów spoglądając na tatuaż Violet. – Nie domyśliłabym się.

– Tak, niezbyt tam pasowałam – przyznała Violet. – Kiedy byłam dzieckiem, mama krzyczała na mnie, gdy w zwykły wtorek wkładałam do szkoły kostium na Halloween albo rękawiczki od Pierwszej Komunii na zakupy do sklepu spożywczego.

Violet uśmiechnęła się. Babcia ze strony matki wstawiała się za nią w takich sytuacjach, o ile była w pobliżu. Babcia Lou puszczała wtedy oko do Violet i mówiła: „Niektórzy zostali stworzeni, żeby błyszczeć bardziej niż inni, moja droga”.

Violet machnęła ręką, by uniknąć kolejnych pytań o przeszłość. Otworzyła mahoniową kasetkę na herbatę i przesunęła

palcem po szeregu torebek znajdujących się w wyściełanym atłasem pudełku.

– Na pewno nie ma pani ochoty na herbatę? I tak parzę dla siebie, więc zrobienie dwóch filiżanek nie sprawi mi żadnego kłopotu.

– No dobrze. – April odstawiła dzbanek i rozpięła kurtkę.  
– Dziękuję.

– I proszę pozwolić, że powieszę tę suknię. Inaczej się pogniecie. – Violet wzięła suknię ślubną z lady. Wygładziła ją i umieściła na wysokim wieszaku obok kasy.

– Wszystko mi jedno, czy się pogniecie, czy nie – westchnęła April.

– Ale mnie nie. Prasowałam ją ponad godzinę, nim zniosłam do sklepu. Nie ma nic bardziej upierdliwego od prasowania jedwabnej tafty.

*Kurde*, pomyślała Violet, besztając się za przeklinanie w obecności klientki. *Znowu ten mój niewyparzony język*. Rzuciła spojrzenie April, która wcale nie zwróciła na to uwagi albo było jej to obojętne.

– Na jaką herbatę ma pani ochotę? – spytała Violet, nalewając wrzątek do dwóch ręcznie malowanych porcelanowych filiżanek. – Mam zieloną, earl grey...

– Czy ma pani coś bez kofeiny? – spytała April, kładąc dłoń na brzuchu.

Violet dostrzegła lekko zaokrąglony brzuch dziewczyny i przebiegło jej przez myśl, że może jest w ciąży. Natychmiast ogarnęła ją zazdrość i żal. Violet zawsze kochała dzieci, ale ostatnio tęsknota za własnym maleństwem budziła się w niej ze zdumiewającą siłą. Niepokoiło ją to nie dlatego, że miała trzydzieści osiem lat i była singielką, ale dlatego, że lubiła sobie wyobrazić, że jest zadowolona ze swojego życia.



Miała Milesa, swojego pitbulla, i grono klientek, z którymi się zaprzyjaźniła. Dzieci i zegary biologiczne były, jej zdaniem, czymś tuzinkowym. A Violet chlubiła się swoją niezależnością i nonkonformizmem – nieważne, że sprzedawała w swoim sklepie staroświeckie fartuchy kuchenne i sukienki z gorsetami.

– Lubię rumianek, jeśli pani ma – powiedziała April.  
– Kiedyś mama często mi go parzyła.

Violet wrzuciła torebki do filiżanek i podała jedną April.

– A więc dlaczego postanowiła pani kupić suknię vintage?

– Mieszkam przy tej ulicy, często tędy przechodzę – wyjaśniła April. – Lubię stare rzeczy. Nie wiem dlaczego. Chyba podoba mi się to, że każda ma swoją historię, że przeszłość jest istotna.

– Doskonale panią rozumiem – stwierdziła Violet. – Lubię też myśleć, że kiedyś życie było prostsze, chociaż na pewno oszukuję samą siebie.

– Wciąż pamiętam, co mi pani powiedziała o tej sukni: że kobieta, która wzięła w niej ślub, była mężatką przez pięćdziesiąt pięć lat.

– Och! Cieszę się, że ktoś słucha moich opowieści! – wykrzyknęła Violet. – Zawsze mówię klientom różne ciekawostki dotyczące przedmiotów, które sprzedaję, ale przypuszczam, że większość ludzi tylko grzecznie kiwa głową i wcale mnie nie słucha. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie wszyscy mają takiego bzika na punkcie staroci jak ja.

– To, co powiedziała mi pani o tej sukni, skłoniło mnie do jej kupna. No i to, że jest taka śliczna i jedyna w swoim rodzaju.

– Prawda? – Violet rzuciła tęskne spojrzenie na suknię, która nawet na wieszaku zachowała fason. – Panna młoda

własnoręcznie ją uszyła. Nie widuje się tego typu detali w rzeczach produkowanych taśmowo.

– Czy przyniosła ją kobieta, która ją uszyła? – spytała April. Violet pokręciła głową.

– Nie, jej córka. Jej rodzice zmarli w odstępie tygodnia zaledwie.

– Jakie to smutne.

Violet upiła łyk herbaty.

– Tak, ale przez wiele lat byli szczęśliwym małżeństwem. Nie wszystkim jest to pisane.

– Miałam na myśli ich córkę. – April zawahała się. – Czy jest pani zajęta? Nie chcę przeszkadzać, jeśli ma pani coś do zrobienia.

– Interesy nie idą najlepiej. – Violet wskazała pusty sklep. – Chce pani porozmawiać o tym, co się stało? To znaczy o tym, dlaczego postanowiła pani zwrócić suknię?

Dziewczyna tak energicznie pokręciła głową, że kosmyki blond włosów uderzyły o jej policzki.

– Nie chcę zabierać pani więcej czasu.

– Zmieniam wystawę na lato. To nic pilnego. – Violet spojrzała na dwa manekiny na wystawie: jeden w letniej sukience, drugi w brzoskwińowym moherowym swetrze.

April odstawiła filizankę na ladę, strącając stertę papierów leżących obok kasy.

– Najmocniej przepraszam! – Schyliła się, żeby je podnieść.

– Proszę się tym nie przejmować. To moja wina, że trzymam tu papierzyska. Może pewnego dnia będę miała wszystko w komputerze, ale nie wiem, od czego zacząć. Tym bardziej że nie przepadam za cyferkami – tłumaczyła się Violet. – Wolę usuwać plamy z jedwabnej bluzki albo prasować staroświecką pościel.

– Cyferki są moim żywiołem. – April się ożywiła. – Dostałam stypendium na studia na wydziale matematycznym. Jesienią zaczynam naukę na uniwersytecie stanowym.

Rozległ się dzwonek nad drzwiami i do sklepu weszła ciemnowłosa kobieta w różowym sari. Lśniąca tkanina szeleściła, kiedy kobieta szła w stronę lady.

– Przepraszam na chwilę – szepnęła Violet.

– Nie będę pani dłużej przeszkadzać. – April zapięła kurtkę.

– Dziękuję za herbatę.

– Ależ nie musi pani iść. To zajmie najwyżej parę minut.

April skierowała się do wyjścia, ale po kilku krokach odwróciła się.

– Och, zapomniałam wziąć suknię... – Rzuciła Violet błagalne spojrzenie. – Czy mogłabym ją u pani zostawić? I tak mi się nie przyda, a wolę nie widzieć jej za każdym razem, kiedy otworzę szafę.

– Jasne, nie ma sprawy. – Violet pomyślała, że może ten jeden, jedyny raz zrobi wyjątek od reguły dotyczącej zwrotów towaru. Sięgnęła do kasy – masywnej, metalowej, z okrągłymi klawiszami, podobnymi do tych, jakie miały tradycyjne maszyny do pisania. Pociągnęła dźwignię, żeby otworzyć szufladę, ale coś się zacięło. Spróbowała drugi raz i trzeci, bezskutecznie. – Proszę zaczekać, aż uda mi się to otworzyć – powiedziała.

Jednak kiedy uniosła wzrok znad kasy, nie zobaczyła April, tylko kobietę w sari, która szukała czegoś w torebce. Violet dostrzegła siwe odrosty wzdłuż linii przedziałka.

– Dzień dobry – powitała ją Violet, maskując uśmiechem zdziwienie. – Słucham panią.

Kobieta wyjęła z torebki woreczek z czerwonej tkaniny. Odwróciła go dnem do góry i na ladę wysypały się różnokolorowe bransoletki.

– Chciałabym je sprzedać – oznajmiła.

Violet wzięła jedną bransoletkę – cienką, złotą, wysadzaną jakimiś niebieskimi kamieniami.

– Są śliczne. Czy to sztuczna biżuteria?

– Nie rozumiem. – Kobieta zmarszczyła czoło, na którego środku miała wymalowane czerwone bindi.

– Czy to prawdziwe złoto?

Kobieta pokręciła głową.

– Mam w domu kilka bransoletek z osiemnastokaratowego złota, ale te bransoletki są tanie. Tę niebieską dostałam w prezencie od męża, kiedy byliśmy młodzi i nie mieliśmy pieniędzy.

Violet odłożyła bransoletkę.

– Och, to może chciałaby pani ją zatrzymać? Odnoszę wrażenie, że wiele dla pani znaczy.

– Nie. Już nie.

Violet wywnioskowała z tonu głosu kobiety, że nie ma ochoty rozmawiać o swoim mężu, i uszanowała to. Wiedziała z własnego doświadczenia, że niektóre historie są zbyt bolesne, by je opowiadać.

Violet wzięła bransoletkę w różowo-pomarańczowy wzór.

– Ta należała do mojej córki – wyjaśniła kobieta. – Porządkowałam jej pokój, bo niedawno wyszła za męża i razem z mężem kupili mieszkanie na drugim końcu miasta. Dlatego jestem w sari i mam wymalowane bindi. – Dotknęła czoła. – Stroję się tak na wyjątkowe okazje. Dziś rano zorganizowaliśmy pudzę na честь nowożeńców. Moja córka nie zgodziła się na hinduskie wesele, więc razem z jej ojcem musieliśmy się zadowolić pudzą i uroczystym posiłkiem po ich powrocie z podróży poślubnej.

– Jest pani pewna, że córka nie będzie chciała jej zatrzymać? – Violet położyła bransoletkę na ladzie.

Kobieta skinęła głową.

– To właśnie ona oznajmiła mi, że powinnam się pozbyć tego, co zostawiła w domu. Odparłam, że chętnie zatrzymam część jej rzeczy, ale oświadczyła, że pora... Jak to powiedziała? „Iść do przodu”. Mówi, że przechowuję za dużo starych rzeczy.

– To tak jak ja.

– Ma pani dzieci? – spytała kobieta.

Violet pokręciła głową i powiedziała z udawaną beztroską:

– Nie, ale mam psa, który jest jak dziecko. – Otworzyła oprawioną w skórę księgę inwentaryzacyjną, w której zapisywała wszystko, co przyjmowała do sklepu i sprzedawała, od kostiumu Chanel po szydełkową bluzeczkę bez pleców. Sprawdziwszy ceny kilku podobnych bransoletek, powiedziała: – Mogę pani dać dwadzieścia dolarów gotówką za wszystko albo kredyt w wysokości trzydziestu dolarów na zakupy w moim sklepie. Co pani woli?

– Gotówkę, jeśli można – odparła kobieta. – W domu mam jeszcze wiele innych rzeczy. Nie tylko bransoletki. Mogę je przynieść któregoś dnia, jeśli jest pani zainteresowana.

– Bardzo proszę. Sklep jest otwarty codziennie od dziesiątej do siódmej.

– A jak pani na imię, żebym wiedziała, kogo prosić?

– Violet. Ale nie musi się pani martwić, jak mnie znaleźć. Tylko ja tu pracuję i zawsze jestem na miejscu. Mieszkam nad sklepem.

– A ja mam na imię Amithi.

– Bardzo mi miło. – Violet się uśmiechnęła. – Potrzebny mi pani dokument. Takie są przepisy. Przypuszczam, że chodzi o to, by nie dopuścić do sprzedaży kradzionych rzeczy.

Amithi pokazała prawo jazdy, Violet otworzyła kasę i wręczyła Amithi pieniądze za bransoletki.

– Dziękuję. – Amithi schowała banknoty do portmonetki i wyjrzała zaniepokojona przez okno wystawowe. – Mam nadzieję, że nie uzna mnie pani za histeryczkę... Może to nic takiego, ale czy zna pani mężczyznę, który zaparkował samochód przed pani sklepem? Był tam, kiedy tu weszłam, i widzę, że nadal parkuje na tym samym miejscu i nie spuszcza wzroku ze sklepu.

– Naprawdę? O którym samochodzie pani mówi?

Violet podeszła do dużego okna wystawowego i wyjrzała na ulicę. Samochody parkowały zderzak w zderzak wzdłuż krawężników, co nie było niczym niezwykłym w tym uniwersyteckim mieście.

– O tym srebrnym. Widzi go pani? – Amithi stanęła obok Violet.

Violet odgarnęła z oczu grzywkę i zobaczyła szarego nisansa parkującego przed kliniką akupunktury. Na miejscu dla kierowcy siedział jakiś mężczyzna, ale nie mogła dostrzec jego twarzy.

– Widziała pani, jak wygląda? – spytała.

– Nie widziałam go z bliska, ale chyba ma brązowe włosy, nieco przerzedzone – powiedziała Amithi. – Sprawia wrażenie potężnego. Zwalistego.

Jed, jej eks, pewnie już zaczął łysieć. I pamiętając, ile puszek piwa Busch wypijał, przynajmniej w czasach, kiedy byli małżeństwem, Violet wcale nie byłaby zdziwiona, gdyby przybrał na wadze. Zaraz po rozwodzie Jed potrafił przejechać pięćset kilometrów, by się upić i pojawić na progu jej mieszkania, grożąc, że zaciągnie ją z powrotem do Bent Creek, ale ostatnio zdarzało się to coraz rzadziej.

*Mężczyzna w nissanie to z całą pewnością nie Jed, pomyślała Violet, bo on uznawał wyłącznie amerykańskie furgonetki. Zmusiła się więc do wzięcia uspokajającego oddechu, jak ją*

nauczono na zajęciach jogi, na które zapisała się kilka miesięcy temu, by uzyskać większą równowagę w życiu, co niestety jej się nie udało.

Drzwi szarego samochodu, zaparkowanego po drugiej stronie ulicy, otworzyły się i wysiadł z niego mężczyzna o muskularnych ramionach w białej opiętej koszulce. Miał pokerową minę człowieka, który wykonuje za kogoś brudną robotę.

– Zna go pani? – spytała Amithi.

– Nigdy wcześniej go nie widziałam.

Mężczyzna wszedł i zamknął za sobą drzwi. Rozległ się dźwięk dzwonek.

– Och, przepraszam. – Wzruszył ramionami i spojrzał na podkładkę do pisania. – Violet Turner?

– Tak, słucham pana? – Violet uniosła dłoń do piersi.

Amithi podeszła do stojaka z butami znajdującego się w głębi sklepu.

Mężczyzna wręczył Violet gruby plik dokumentów.

– Poproszono mnie o doręczenie pani tego. – Wciąż stał na progu, może wyczuł, że nie jest tu mile widziany.

Violet zsunęła na nos okulary do czytania w rogowej oprawce i w milczeniu przeczytała nagłówek na pierwszej stronie: „Żądanie opróżnienia lokalu”.

– Czy to nakaz eksmisji? – spytała.

Nie patrząc jej w oczy, mężczyzna podsunął jej podkładkę do pisania.

– Proszę pokwitować odbiór pisma.

– Chyba zaszła jakaś pomyłka – stwierdziła Violet. – Mam podpisaną umowę na odpłatne użytkowanie i prawo pierwokupu budynku. Nie rozumiem więc, dlaczego chcą mnie eksmitować. Część comiesięcznego czynszu jest zaliczana na poczet przyszłej przedpłaty.

– Ja tylko doręczam dokumenty, proszę pani. Nie wiem, czego dotyczą. Musi to pani omówić ze swoim prawnikiem.

– Nie mam prawnika – odpowiedziała cicho, spoglądając przez ramię na Amithi, i podpisała się na pokwitowaniu.

– Dziękuję pani. Życzę wszystkiego najlepszego. – Doręczyciel lekko skinął głową. – Ma pani bardzo przyjemny sklep.  
– Wsunął podkładkę pod pachę i wyszedł.

Amithi podeszła do Violet.

– Przepraszam, że zostałam. Ale ponieważ powiedziała pani, że nie zna pani tego mężczyzny, bałam się o panią i nie chciałam, żeby była tu pani sama.

Violet drżały ręce, w których ścisnęła dokumenty. Doceniała troskę Amithi, ale tylko jedno mogło być gorsze od otrzymania nakazu eksmisji: że świadkiem tego była klientka.


– Czy mogłabym pani jakoś pomóc? – spytała Amithi. – Domyślam się, że ten mężczyzna nie przekazał pani dobrej wiadomości.

– Nie – potwierdziła Violet. – Z całą pewnością nie jest to dobra wiadomość.





*W czym tkwi istota kobiecej przyjaźni?  
Może w umiejętności słuchania i współodczuwania?*

.....  .....

Violet, właścicielka sklepu z używanymi rzeczami Vintage, potrafi słuchać. Historii o rzeczach. I historii o ludziach. Jej klientki często odkrywają więc przed nią swoje tajemnice, choć – na pozór – mówią tylko o przedmiotach. Porządkując szafy – porządkują własne życie. I wspomnienia.

Swoją historię ma wszak plamka na sari, w którym wychowana w tradycyjnej hinduskiej rodzinie Amithi ruszyła do Ameryki u boku poślubionego w Indiach męża. I jej rubinowe kolczyki, przechodzące od pokoleń z matki na córkę, w których Jayana, córka Amithi, nie chce wziąć tradycyjnego ślubu. I oddana do butiku sukienka, z którą wiąże się dramat zerwanych zaręczyn April. Kostiumy teatralne i historia wyboru między nowojorską sceną teatralną a dużą rodziną. I kapelusz babci Violet (nie na sprzedaż!)

.....

W sklepie rzeczy zapomnianych Vintage nie ma rzeczy bez historii, a losy wielu ich byłych i przyszłych właścicielek (i właścicieli!) niekiedy zaskakująco się ze sobą splatają. Przyjaźń nie zna bowiem barier wieku, rasy, pochodzenia. Daje moc, pomaga wyjść bezpiecznie z najtrudniejszych życiowych zakrętów. A miłość? Potrafi wybaczać. Ale też zmusza do trudnych wyborów.

Ale żeby naprawdę się zaprzyjaźnić, trzeba też umieć się otworzyć, a to najtrudniej przychodzi samej Violet.  
Czy jej sklep pełen niecodziennych rzeczy przetrwa?

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



cena 37,90 zł

PATRONKI  
MEDIALNY

BOOKLIPS.PL IIIII